

UPALNE LATO W ŚNIEGU I LODZIE CZYLI JAK ZDOBYĆ PIERSI DZIEWICY

Elbrus, nazywany też „Piersiami dziewczicy”, „Wieczną Górą”, „Górą Tysiąca Gór”, a nawet „Górą Przynoszącą Szczęście” lub Oszhomaho, jest położonym na terenie Kabardo-Balkarii najwyższym szczytem Kaukazu i jednocześnie najwyższym szczytem Rosji. Ma dwie kopuły szczytowe, utworzone przez erupcję wygasłego obecnie wulkanu. Kratery wulkanu są wypełnione lodem i śniegiem. Wyższy zachodni wierzchołek, który był celem wyprawy, wznosi się na wysokość 5642 m n.p.m., natomiast niższy wschodni ma wysokość 5621 m n.p.m. Pokryty wiecznym śniegiem Elbrus jest silnie zlodowacony - znajduje się na nim ponad 50 lodowców o łącznej powierzchni ok. 140 km², dlatego bywa nazywany Małą Antarktydą. Z uwagi na fakt, że jest to szczyt zaliczany przez niektórych do Europy, wchodzi, jako piąty pod względem wysokości, w skład tzw. Korony Ziemi (www.7summits.com/).



Powyżej: Masyw Elbrusa w chmurach – cel wyprawy, wyparty podczas trekkingu na Czeget.

U góry: Wierzchołki Elbrusa, widziane powyżej stacji Stary Krugozor, w drodze do stacji Mir.

Po latach na wyprawę do Rosji

Składając wniosek wizowy, miałem dylemat, czy lecę do tego kraju po raz pierwszy. W zasadzie nie, ponieważ byłem tam już w lutym 1979 roku (kiedy wylot samolotu do Moskwy został przesunięty o jeden dzień z powodu tragicznego wybuchu gazu w Rotundzie PKO w Warszawie). Ale wtedy była to stolica innego kraju. Przy okazji chcę zobaczyć, na ile innego. Jest upalny początek lata 2012 roku. W sobotę, 7 lipca, o 8⁴⁵ spotykamy się na lotnisku F. Chopina w Warszawie. W 13-osobowym zespole rozpoczynamy kolejną „wysokopienną” wyprawę. Mamy zarezerwowany przedpołudniowy lot do Moskwy. Lecimy dwie godziny, a w Moskwie, z uwagi na dwie godziny różnicy czasu, jesteśmy ok. 14⁰⁰. W stolicy Rosji, na lotnisku Szeremietiewo, w dość szybkim tempie szukamy terminala D, skąd odlatują samoloty linii krajowych. O 17⁴⁰ przesiadamy się na sa-

molot do Mineralnych Wód w Kraju Stavropolskim, gdzie lądujemy ok. godz. 20⁰⁰ czasu lokalnego. Jesteśmy na przedgórzu Wielkiego Kaukazu. Teraz, po zakończeniu wszystkich formalności, czeka nas blisko trzygodzinna jazda (ok. 180 km) wynajętym minibusem do stacji Azau w dolinie rzeki Baksan w górach Kaukazu. W hotelu, położonym tuż obok stacji kolejki linowej w masywie Elbrusa, niespodziewanie witają nas spóźnioną kolacją, co jest dobrą okazją do niewielkiego relaksu po długiej podróży. Rozpakowanie bagażu może poczekać. Warunki w hotelu są lepsze od oczekiwanych. Z przekonaniem, że od jutra zaczynamy górską aklimatyzację, o 2³⁰ kładziemy się spać.

Aklimatyzacyjne trekkingi

Na niedzielę mamy zaplanowany całodzienny trekking. Bezpośrednio po śniadaniu, ok. 9³⁰ wyruszamy kilkukilometrowym odcinkiem szosy do centrum miejsco-

wości Terskol, skąd startuje najpierw dwu-, a następnie jednokrzeselkowa kolejka linowa na Czeget – szczyt o wysokości 3460 m n.p.m. Z górnej stacji na wysokości 3100 m idziemy „szlakiem”, na którym ruch jest dość duży, ale nie ma co się dziwić – jest niedziela i piękna pogoda. Doskonałe warunki do robienia zdjęć. Podziwiam ośnieżone szczyty okolicznych czterotysięczników, w tym ten z lodowcem „7”. Po raz pierwszy widzę biały szczyt Elbrusa. Po kilkugodzinnym trekkingu zaczynamy schodzić, ponieważ ostatni turyści mogą zjeżdżać o godz. 16⁰⁰. Korzystając z dwóch kolejek, po około godzinie jesteśmy na dolnej stacji, gdzie zatrzymujemy się na posiłek, zamawiając miejscowe szaszłyki i piwo „Wysota 5642” – ta wysokość, a nie piwo, jest tutaj naszym celem. Po powrocie do hotelu przysnąć, kolacja i o 22⁰⁰ zmęczony kładę się spać. Jak większość uczestników wyprawy, zostałem „oderwany od biurka” i aklimatyzacja jest niezbędnym elementem przygotowania do ataku szczytowego, w dużym stopniu decydującym o sukcesie.

W poniedziałek, 9 lipca, zmiana pogody, zniknęło słońce. W planie trekkingu aklimatyzacyjny do miejscowego obserwatorium. Po śniadaniu, o 8⁰⁰ wyruszamy z hotelu, jest jeszcze sucho. Gdy jesteśmy w drodze do obserwatorium zaczyna kropić, później padać. Całą drogę „pod górę” towarzyszy nam mgła, mżawka lub deszcz. W „obserwatorium” (cudzyśłów z uwagi na charakter obiektu, który okazuje się „top secret”) jesteśmy po ok. 4 godzinach wędrówki, ok. 13⁰⁰. Deszcz wciąż pada, więc kolejny raz przebieramy się i postanawiamy schodzić. Teraz idziemy szybciej i po około dwóch godzinach jesteśmy na szosie. Zatrzymujemy okazję i niebawem „ładujemy” w hotelu. Popołudnie i wieczór przeznaczamy na wypoczynek i relaks. Dzisiejszy dzień przypomina nam o znaczeniu pogody podczas wysokogórskiej wyprawy.

Następny dzień, ze względu na nie najlepszą pogodę, jest bez konkretnego planu - „róbta co chceta”. Po późniejszym niż zwykle śniadaniu pada deszcz. Dzień zapowiada się bardzo spokojny. Można odspiać zaległości, czytać, ale... jednak sformułowała się „grupa zwiadowcza”, która postanowiła rozpoznać teren i wyruszyła kolejką na zbocza Elbrusa. Nadeszła dobra wiadomość, że czym wyżej, tym lepsza pogoda. Nie było czasu na zastanawianie się. Przed południem wyjechaliśmy kolejką gondolową na stację pośrednią Stary Krugozor (ok. 2900 m), następnie, po przesiadce, do dolnej stacji kolejki krzeselkowej Mir (ok. 3400 m). Warto dodać, że kolejka gondolowa (taka jak na Jaworzynie Krynickiej) jest nowa i nowoczesna oraz kursuje równoległe do kolejki linowej „klasycznej” (jak dawniej na Kasprowy Wierch). Natomiast krzeselka są stare i mocno wyeksploatowane. Z kolejki mamy fantastyczny widok na dwa wierzchołki Elbrusa – zachodni wyższy i wschodni o 20 m niższy. Gdy docieramy na górną stację - Garabazi, położoną na wysokości ok. 3800 m n.p.m. szczyty przykrywają chmury. Jesteśmy w górskim schronisku, tzw. „Beczkach” („Barrels”). Po krótkim rozejrzeniu się (być może będziemy tutaj mieszkać) wyruszamy w kierunku kolejnego schroniska Priut, na wysokości ok. 4150 m n.p.m. Postanowiłem wędrować do godz. 14³⁰ i wracać do kolejki przed jej zamknięciem. W międzyczasie Jacek przysłał SMS, że ostatnie krzeselka odjeżdżają o 15⁰⁰ – więc trzeba się spieszyć. W efekcie zjeżdżam jako ostatni. Krótki rekonesans okazał się bardzo potrzebny i ciekawy, ale dla niektórych uczestników zaowocował oparzeniem twarzy – przedpołudniowe słońce, które pojawiło się niespodziewanie po porannych mgłach, i biały śnieg zrobiły swoje. Niespodziewanie powstał zespół „poparzeni Słońcem”. Po powrocie do hotelu „zarządzone” zostało pakowanie na wyjście w masyw Elbrusa. Ostatnia szansa na skompletowanie wyposażenia lub ubioru. Wejście na szczyt nie jest trudne technicznie, ale podczas wieczornej „odprawy” dyskutujemy, jaki przyjąć plan ataku na szczyt i o czym nie należy zapomnieć – wiadomo, o sukcesie decydują szczegóły i drobiazgi.

Na Elbrusa

Jest środa, 11 lipca 2012 r. Trwają ostatnie przygotowania sprzętu i ubrań do aklimatyzacyjnych trekkingów na zboczach Elbrusa i ataku szczytowego. Po śniadaniu udajemy się na stację dolną kolejki linowej. Tym razem jedziemy kolejką „tradycyjną”. Jest tłoczno, ale OK. Następnie na krzeselkach dojeżdżamy do górnej stacji. Trafiamy do „turbazy”, składającej się z 6-osobowych „domków” w kształcie dużych, stalowych, leżących cylindrów, a właściwie beczek. W bazie może nocować ok. 60 turystów. Biorąc pod uwagę bliskość cywilizacji,

warunki bytowe są prymitywne. Podobna sytuacja jest w drugiej, wyżej położonej bazie Priut i może trochę lepsza w towarzyszącym jej domku „Maria”. Kuchnia i stołówka mocno „okupowane”, woda jest donoszona z zewnątrz, a o toaletach lepiej nie wspominać. Ale co tam – założmy, że jesteśmy w głębokim interiorze. Dyskusja toczy się głównie wokół pytania, kto do Priuta jedzie ratrakiem, a kto dochodzi, nocuje i startuje z górnej bazy. Po zakwaterowaniu wychodzimy na aklimatyzacyjny trekking w kierunku Skał Pastuchowa, na wysokości ok. 4700 m n.p.m. Aklimatyzacja na tej wysokości jest bardzo ważna. Z powodu bardzo gęstej mgły brak atrakcyjnych widoków, za to trzeba wypatrywać ledwo widocznych tyczek. Przed skrzętem do schroniska Priut, kierowca ratraka podwozi mnie na poziom Skał Pastuchowa (na <http://www.panoramy.wyprawy.org/pastuchowa.php> - panorama części Kaukazu, polecam). Ratrak jedzie „odebrać” uczestników wspinaczki na szczyt, którzy potrzebują wsparcia. Gdy zaczynam schodzić, mijam zdziwionych współtowarzyszy, którzy wyszli wcześniej, ale jeszcze wspinali się do Skał Pastuchowa. Bez pośpiechu, zatrzymując się na dłuższy postój w schronisku Priut, schodzę do bazy z „beczkami”. W międzyczasie śniąpi niewielka mżawka, ale da się wędrować. Na miejscu jestem ok. godz. 18⁰⁰. Po kolacji dość szybko kładziemy się spać. W beczkach jest ok. 10 °C, więc nie ma problemu z zasypianiem.



Autor wśród przyjaźnie nastawionych do „wizytanta” walecznych z natury Czerkiesów.

Czwartek jest kolejnym dniem aklimatyzacyjnym. Część uczestników wyprawy postanawia jeszcze trenować. Jadą rano ratrakiem do Skał Pastuchowa, by następnie zejść do bazy. Ja zostaję w bazie, odpoczywam i, cokolwiek by to miało znaczyć, „zbieram” siły. Jako dodatkowa atrakcja, przed południem w naszym „tourist centre” pojawili się ludzie w regionalnych strojach – czerkieskach, z charakterystycznymi gilzami na pierśsiach. Okazało się, że są to Czerkiesi, którzy towarzyszą rodakom przybyłym do Rosji z Izraela. Przy okazji dowiedziałem się trochę o ich ciekawej historii i tradycyjnej waleczności czerkieskich mężczyzn. Wieczorem powoli zaczyna się udzielać napięcie związane z planowanym atakiem szczytowym. Po ustaleniu pobudki na drugą w nocy wcześniej idziemy spać. ▶

► Dzień ataku szczytowego wypadu w piątek, 13 lipca 2012 r. Ostatecznie wszyscy startujemy z poziomu bazy „Beczki”. Czas biegnie bardzo szybko: niewielkie śniadanie, ubranie stosowne do warunków wyprawy, dopakowanie plecaka szturmowego i punktualnie o 3⁰⁰ sadowimy się w ratraku, który ma nas wywieźć na poziom Skał Pastuchowa. Niespodziewanie podstawiono nam ratrak z kabiną (większość pojazdów śnieżnych jest z odkrytą skrzynią). To rozwiązanie okazało się bardzo dobre, bo przy pierwszym podejździe pojazd gąsienicowy zepsuł się. Na szczęście po kilkunastu minutach został naprawiony i mogliśmy jechać dalej i wyżej. Spod Skał Pastuchowa wyruszamy około czwartej w nocy. Jest jeszcze ciemno. Na zboczu migają tylko lampki – czołówki. Myślę sobie, że bardzo dobrze, bo nie widać przed nami góry. Śniegu sporo. Zakosami idziemy ostro pod górę. Około 4³⁰ zaczyna szarzeć. Można się rozejrzeć wokoło. Jesteśmy na stromym zboczu wschodniego szczytu. Grupa uformowana początkowo w „tramwaj”, jak zawsze w naszym przypadku, szybko rozpada się na 2-3 części. Ja preferuję indywidualne tempo, więc większość trasy pokonuję bez towarzystwa – cytuję za S. Lachowskim: „*w górach człowiek nie jest samotny, nawet, jeśli jest sam*”. Początkowo idziemy ekspozycją wschodnią, ale nie ma słońca. W momencie, gdy zaczyna się ono pojawiać, wchodzimy na południowe zbocze wschodniego szczytu i po godzinie siódmej wciąż jesteśmy w cieniu. Jest dość zimno. Wszyscy przyspieszają, aby wejść w siodło pomiędzy kopułami, a następnie na wschodnią stronę zachodniego szczytu. Na zboczach obu wierzchołków ścieżki są dość wąskie i trzeba bardzo uważać, aby się nie poślizgnąć. Zjazd po stromym stoku zawsze jest niebezpieczny. W siodle (wys. ok. 5300 m n.p.m.) wydeptany szlak jest szeroki i można zorganizować krótki postój, połączony z pierwszym posiłkiem. Teraz ruch na szlaku jest trochę większy, jedni zwalniają, inni zaś przyspieszają. Trawers w dość głębokim, kopnym śniegu na wschodnim zboczu zachodniego wierzchołka wymaga szczególnego skupienia. Nikt nie robi takiej „reklamy” Górze, ale to tutaj rok wcześniej moi współwędrowcy na Mont Blanc zjechali setki metrów w dół, doznając niebezpiecznych kontuzji. Wyjście na wypłaszczenie pod szczytem zachodnim zwiastuje sukces. Jest godzina 9⁰⁰. Od tego miejsca zaczynają pojawiać się pierwsi zdobywcy, którzy schodzą ze szczytu. W moich uszach brzmi mantra tragarzy spod Kilimandżaro: *pole-pole* (spokojnie, wolno), w końcu jesteśmy na wysokości ponad 5 tys. m n.p.m. Z wypłaszczenia jeszcze niewielkie, ale strome zbocze i... JESTEM na szczycie - 5642 m n.p.m. Wspaniała pogoda, doskonała widoczność, niezapomniane widoki (można je obejrzeć na <http://www.panoramy.wyprawy.org/elbrus.php>, ale bez słońca). Było warto. Tuż przede mną na szczyt „wtargnęli” żołnierze OMON-u z Murmańska (nie wiem, czy dla przyjemności, czy w ramach ćwiczeń) – w górę wystrzeliły petardy i fajerwerki. Nawet trudno było zrobić zdjęcie przy szczytowym „obelisku”. W międzyczasie na szczyt dotarł Leszek w towarzystwie Danusi i Sylwii. W tej chwili już nie bujamy w obłokach. Jesteśmy ponad chmurami. Rozglądam się wokoło, na północ Rosja, na południe Gruzja. Mniej więcej po pół godziny schodzę ze szczytu. Droga powrotna prowadzi „po śladach”. Na przedszczytowym wypłaszczeniu spotykam Jacka, który słysząc o bliskości szczytu, deklaruje „no to już chyba wejść”. Zapamiętałem jeszcze z hotelowych „rozgaworów”, że na szczyt należy wejść przed południem, a po dwunastej zarządzać odwrot, aby nie mieć problemów z powrotem. Tak więc rokowa-

nia na pełny sukces w naszej grupie są dobre. Znowu trawers. Widać z niego wschodnią „Pierś Dziewicy”. Jak się później okazało, Krystian nie mógł takiej okazji przepuścić i postanowił ją zdobyć „z marszu”. Teraz, już nie spiesząc się, chłonę widoki, przystaję dla posilenia się, zrobienia zdjęć i korekty ubraniowej. Mijamy się ze współwędrowcami, nie rejestrując ściśle, kto przede mną, kto za. Na wysokości 5 tys. m n.p.m. podzielność uwagi i spostrzegawczość, zwłaszcza przy słabej widoczności, jest ograniczona. Po przejściu siodła wędruję sam, ale na południowym zboczu wschodniego wierzchołka doganiają mnie Iwona i Marek. Jest kolejna okazja do zrobienia sobie kilku zdjęć na tle kaukaskich szczytów, powyżej warstwy chmur kłębiastych. Jesteśmy na ostatniej prostej. Perspektywa szybkiego dotarcia do Skał Pastuchowa jest na tyle kusząca, że niektórzy ryzykują zjazd na czymkolwiek, np. na większym worku foliowym. To nie jest propozycja dla mnie, schodzę na własnych nogach. W końcówce wędrowki spotykam się z Krystianem i razem dochodzimy do Skał Pastuchowa. Tutaj niespodzianka. Część naszej ekipy zdecydowała się wezwać ratrak. Przychodzimy „na gotowe”. Wsiadamy do śnieżnej taksówki. Czuję, że wraz z „wyluzowaniem” opadają ze mnie resztki sił. Po kilkudziesięciominutowej jeździe podejście kilkuset metrów do beczek staje się trudne. Około 16⁰⁰ jestem w bazie. Na powitanie Andrzej i Monika „zorganizowali” po butelce coli. Takie momenty pamiętam bardzo długo.

... i do domu

W sobotę po śniadaniu zarządzamy pakowanie i „ewakuujemy” się z „turbazy” do przysiółka Azau, zabierając swoje bagaże i odpady. Dobre i to, chociaż widoku porzuconego złomu i totalnego bałaganu to nie zmieni. Planując wyprawę, jeden dzień został zarezerwowany na oczekiwanie dogodnych warunków pogodowych. Ponieważ skorzystaliśmy z pierwszej możliwej okazji, w niedzielę mamy dodatkowy dzień na relaks: odpoczynek, spacer i... notatki z wyprawy. Na obiad wybraлиśmy się do miejscowej restauracji, w której zamówiliśmy ryby. Jednak wcześniej trzeba było je własnoręcznie złowić w pobliskim basenie. Postanawiamy przyspieszyć wyjazd z Terskol i w poniedziałek zobaczyć jeszcze ok. 80-tysięczne Mineralne Wody. W tym mieście można dostrzec, że zmiany postępują wolniej niż w Moskwie: na jednym z placów stoi pomnik towarzysza Iljicza, w innym miejscu na skwerze popiersie K. Marksa, gdzie indziej ulica jego imienia. We wtorek, 17 lipca, z niecierpliwością oczekujemy na lotnisku na samolot do Moskwy, gdzie mamy przesiadkę do Warszawy. Jest to o tyle ważne, że połowa naszej grupy jeszcze w tym samym dniu, cztery godziny po przylocie do stolicy, przesiada się na Okęciu na samolot do... Tbilisi, stolicy Gruzji. Okazało się, że kilkudziesięciokilometrową drogę z Kaukazu Północnego w dziewicze doliny Swanetii, z uwagi na konflikty graniczne Rosji i Gruzji, najłatwiej i najtaniej będzie odbyć samolotem przez Moskwę i Warszawę. Zadowolony, że lipcowe upały przeczekałem w masywie Elbrusa, z uwagi na wcześniejsze plany zostaję w Polsce, z postanowieniem, że w Kaukaz Wschodni i na degustację gruzińskich win wyprawię się „innym razem”.

Andrzej KULIG

Fotografie ze zbioru A. Kuliga



Długo nie mogłem oderwać oczu i obiektywu aparatu od majestatycznego lodowca „Siódemka” na zboczach Donguzorun (4458 m n.p.m.).

Powyżej: O świcie, w drodze na szczyt - powyżej Skał Pastuchowa, w tle panorama rosyjsko-gruzińskiego Kaukazu.

Na dole: Szczyt Elbrusa - oczywiście z pięcioramienną gwiazdą i innymi „pamiątkami”.

ELBRUS 2012

Fotografie: arch. Andrzeja Kuliga



Powyżej: Aklimatyzacyjny trekking w pełnym słońcu na szczyt Czegetu.

Poniżej: Szczęśliwi zdobywcy na szczycie Elbrusa - autor z Danutą, Leszkiem i Sylwią.

